ROK X. WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1921 R. ZESZYT XX.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Najnowsza literatura polska.

(1917—1921)

(Ciąg dalszy).

Program „Zdroju“ był obiecujący. Zdawało się, że redakcja wejdzie na te drogi, które wieźć mogą do odwiecznych tajemnic ducha i sztuki, że wśród „tamtamów" i „tromtadracji" zacznie pracę zupełnej odbudowy treści wewnętrznej. Ale zapowiedzi zawiodły. „Zdrój“, który dawniej niewiedział jakim bogom służyć—wychodził regularnie i tą punktualnością, iście niemiecką — zadziwiał wszystkich. „Zdrój“ odrodzony—umarł... z wyczerpania. „Credo“ spóźnione—stało się śpiewem łabędzim. I inaczej nawet być nie mogło. Bo wszakże żadna redakcja nie zdołałaby tak rozległego planu zrealizować, żadna nie znalazłaby takich współpracowników — którzyby myśli przewodniej, wypowiedzianej bardzo indywidualnie, służyć potrafili. Jerzy Hulewicz identyfikował zanadto swoją osobę z pismem, którego był redaktorem. Musiało zatem dojść do tego, że albo „Zdrój“ byłby organem wyłącznie zapełnianym przez p. Hulewicza — albo też zostawałby w niezgodzie z kierownikiem. Unikając tej drugiej ewentualności — „Zdrój“ zamknięto. W przyszłości będzie to tylko książka, sporadycznie się ukazująca, książka zapewne napisana przez jednego człowieka. Tak więc stało się, że program „Zdroju“ obowiązuje tylko autora „Wiana“ i „Kaina“, że wszystko, co imieniem grupy mówiono, zredukowało się do jednej osoby—a zapowiedziane odrodzenie „polskiego ekspresjonizmu“ może nas zajmować tylko jako eksperymentowanie, zależne od talentu i inwencji jednostki.

W tej klęsce „pisma z programem“ upatrywać można

i z tej strony niezdolność najmłodszych pisarzy do wytwarzania wspólnej ideologji. Hasła, które się rodzą—zaprzątają jeden mózg, a myśli rzucane tu i tam nie mają siły zapładniającej. Wszystkiem jest przypadek, który rodzi znów przypadkowe programy, wyłączające się wzajemnie, zaprzeczające wczorajszemu *ja* pisarzy i twórców. Najlepszym tego przykładem jest „Nowa sztuka", której zeszyt pierwszy ukazał się w listopadzie 1921 r. W skład redakcji owego „miesięcznika artystycznego" weszli ludzie z pod różnych znaków. Jest więc tu „futurysta polski" Anatol Stern wraz z autorem „jednodniówek" Jasieńskim, obok nich wychowanek „Skamadra", a równocześnie współpracownik „Zdroju" Jarosław Iwaszkiewicz, dla kompletu spotykamy tu „formistę" Chwistka. Z zestawienia tych osób wnosićby należało, iż chyba zawarto jakiś kompromis, że wszystkie rozbieżności uzgodniono. Tymczasem tak nie jest. „Nowa sztuka" zaprzecza temu, co mówił „Zdrój", „Skamander", futuryści i formiści, a Stern i Jasieński nauczyli się tu pisać nawet ortograficznie, choć niemal równocześnie z ukazaniem tego pisma, puścili jeszcze dziwaczniejszą, niźli pierwsza, „drugą jednudńuwkę" p. t.: „Nuż w bżuchu".—To ukazuje dwoistość dusz, dwoistość form, niezdecydowanie się co do dróg sztuki, co do jej celów. Czasem nawet posądza się tych autorów, że próbują, co większy efekt wywoła, na co ławiej znaleźć odbiorców. Tem samem traci się zaufanie do nich jako pisarzy — a poczyna się ich traktować jako kuglarzy, którzy na nieświadomy „tajemnic tworzenia" ogół czytelników zastawiają pułapki.

Wobec tego nieprzekonają nas już programowe słowa „Nowej sztuki", które objaśniają, że organ ten „nie ma pretensji do głoszenia nowych haseł lub najnowszego kierunku". Zresztą w niezgodzie z tem stoi zaraz potem pomieszczona enuncjacja, która oświadcza, że miesięcznik „pragnie dać taką syntezę sztuki, która wyzwoliwszy się z pętów metafizyczności, wyzbywając się balastu sentymentalności i symboliki, stałaby się wreszcie nadbudową, nie trzymającą się ściśle wzorów rzeczywistości i wystarczającą samej sobie jedynie na podstawie swych walorów, nowych, rozumowo niemożliwych do przedstawienia sobie przenośni i wartości formalnych, bez których istnienie treści empirycznej w dziale sztuki nie byłoby usprawiedliwione".



Tęsknota. H. Szczygliński.

„Nowa sztuka“ — dowiadujemy się dalej z „wstępu od redakcji“—nie zrywa, jak to czynią wyznawcy polskiego formizmu, z ideową treścią w sztuce“—ale natomiast „na zawsze kończy z kwestją żądań, które jej stawia rozsądek, gdyż z natury swej nie obejmuje on zbyt dalekich, wyłaniających się z ogólnych ram, koncepcji (?!)” Najbliższem zadaniem czasopisma ma być tedy „praca przesunięcia wartości twórczych i kompozycyjnych dzieła sztuki (?), zmodernizowanie psychiki społeczeństwa, zrealizowanie nowych i ekstatycznych perspektyw, które otwiera sztuka, nie zacieśniająca się w granicach zrozumiałości“.

Odrzucając całą ekwilibrystykę słowa, jaka cechuje ten wstęp redakcyjny—jedno za pewnik przyjąć się musi, że „Nowa sztuka“ dążyć będzie do niezrozumiałości, gdyż tam są „ekstatyczne perspektywy“, oraz do wyłamania się z granic rozsądku, który nie dozwala na ujęcie „zbyt dalekich koncepcji“.—Tak to doszliśmy do zupełnie nowego sformułowania praw twórczości, która może rozwijać się tylko po za sferą pojmowania i rozumienia. Ale o ile jest to dobre dla artysty, który wówczas nie podlega ani żadnej krytyce ani kontroli umyłowej—o tyle sfery czytelnicze nie będą mogły dojść do owego świętego Graalu nowoczesnej poezji. Przeszkadzać im bowiem będzie w tem „rozsądek“, który mimo usiłowań podjętych w kierunku „zmodernizowania psychiki społeczeństwa“ przecież nie tylko wśród „krytyków starego społeczeństwa“ pewnie jeszcze kilka lat tułać się może [1]).

Walka o nową formę i treść, odpowiadającą psychice nowoczesnego człowieka, którego przedstawia sobie „uświadomiony“ programista współczesny, jako coś znacznie lepszego od typu ludzi przedwojennych, jest osią, wszystkich rewolucyjnych myśli, zmierzających do przebudowy gmachu twórczości.

Zdaje się jednak, że jest w tem wiele nieporozumień. Nie o odbiorcę w tym razie chodzi, nie o potrzeby intelektualne ogółu,—ale o punkt zaczepienia dla wszelkiej myśli. Szuka się go pod pozorem przeróżnych nowatorstw, gdy tymcza-

---

[1]) W imię zupełnej bezstronności wspominam tu jeszcze o istnieniu jednego pisma, które właściwie przez poziom swój, ma się wrażenie, jakby pragnęło wykreślić się z literatury współczesnej. Jest to t. zw. „Gospoda poetów“.

sem te nowatorstwa mają być tylko pomostem rzuconym przez przepaści bezładu myślowego, jaki zapanował po wojnie. Powszechne zmaterjalizowanie zabiło ideały głoszone przez poezję i obaliło wszelkie podstawy sztuki bezinteresownej. Wyczerpanie nerwowe, spowodowane nadmierną ilością przeżytych wrażeń—jest przyczyną zupełnej niewrażliwości na te podniety, które dawała sztuka. Ale ani to zmaterjalizowanie, ani wyczerpanie nerwowe nie są jeszcze przetworzeniem człowieka, powołaniem w nim do głosu warstw głębszych duszy, użyźnieniem mózgu, słowem: nie jest to wszystko podłożem, na którym mógłby stanąć „człowiek nowy", rozumiejący sztukę z gruntu odmienną od tej, jaką stworzyły wieki. Mimo to jednak przyznać się musi, że zewnętrzne akcesorja „nowych" programów są najzupełniej dostosowane do potrzeb chwili. Głośna reklama i duży rozmach, choćby najmniej mających do powiedzenia — są „w stylu" dzisiejszym. Szkoda tylko, że tak wiele energji zużywa się na to, co nie jest twórczością, nie jest sztuką—a dąży tylko do utrwalenia na moment pewnych nazwisk i tytułów, pamiętanych tak samo, jak napisy na szyldach sklepowych i ogłoszeniach kinematograficznych.

Ale jak każda rewolucja profanuje świętości i utarte szablony, tak i przewrót w królestwie ducha jest tym okresem, w którym nie jedno jest na wierzchu, co winno być na spodzie. Burzy się przeciw temu „kontrrewolucja", zbiera wierne sługi i idzie w bój o swoje prawa. Ścieranie się dawnych i nowych prądów—to objaw znamienny dla wszystkich okresów przejściowych, po których ustala się „rząd dusz" pośredniego autoramentu, następuje uspokojenie wśród skrajnych rewolucjonistów i ich przeciwników.

W najnowszej literaturze polskiej przeciwstawia się żywiołom rewolucyjnym także jawna lub cicha kontrrewolucja. Najbardziej zadzierżyście wystąpiła, choć najmniej danych do tego miała—„Ponowa". W manifeście swoim (Nr. 1 — maj 1921.), zaatakowała najwięcej umiarkowanego „Skamandra"—przeciwstawiając jego poezji, bohaterstwa na polu walki. Jakkolwiek nie wiemy, czy redakcja „Ponowy" brała udział w tych czynach chwalebnych, czy też, siedząc spokojnie w Warszawie z cudzych dzieł dla siebie efektowną trybunę budowała—to jednak pozwolimy sobie zauważyć, że sztuka jest tą dzie-

dziną, w której nie samo życie, ale świadomość jego gra decydującą rolę. Silną jest nie ta poezja, jaką tworzy atleta — ale ta, co zna walor potęgi i wie gdzie kryją się źródła mocy. Tak samo jest z bohaterstwem, patrjotyzmem, prawdą, człowieczeństwem etc. Na ten temat jest atoli w „Ponowie“ wiele „qui pro quo“—nie w kabaretowem, ale, niestety, poważnem znaczeniu. Czytamy np. że „od lat dwustu może po raz pierwszy Polak ma prawo wreszcie przypomnieć sobie, że jest człowiekiem, że obchodzi go wszystko, co ludzkie i boskie“. (str. 5). „Ponowa“ mierzy się tu... z improwizacją Konrada! A dalej: „żyć chcemy sztuką, jak chlebem powszednim, przepoić nią życie, dokonać wielkiej i zbawczej syntezy stworzenia sztuki żywej“. Ale wówczas, gdzie będą podstawy tej sztuki, gdzie samo tworzywo? Teraz daje je prawda życia i stosunek artysty do tych przejawów, skoro zaś życie „przepoi się sztuką“—w takim razie skąd będzie czerpał twórca zasoby realne, niezbędne dla wszelkiej artystycznej fikcji?

Inne wyznania są bardziej proste. Według nich „sztuka nie jest odświętną zabawą, obchodem patrjotycznym, buddyjskiem zapatrzeniem się we własny pępek lub czubek swego (!) klasycznego nosa... Sztuka nie wyczerpuje się pisaniem wierszy na papierze i malowaniem płócien, napiętych na drzewie. Dążymy do pełni wyrazu, pełni czucia swego... Dla nabrania siły rozpędu, zapładniającej światy, musimy się zwrócić do źródła wyrazu artystycznego, przemawiającego do wszystkich swą bezpośredniością, mocą poddawczą, do twórczości ludowej... Sam język, styl, obrazowość poezji ludowej, otworzyć nam może oczy na rzeczy nieobliczalne“.

Tej „nieobliczalności“ znalazło się też sporo w piśmie, które do programu ludowego, starało się dorobić piórem przeważnie niewyrobionych kobiet — szereg poematów [1]). Lecz zarówno tematy jak i forma są tu przetransponowane tylko, nie uległy zaś artystycznemu przetworzeniu. Dlatego wątpić można, czy w ten sposób dojdzie „Ponowa“ do „siły“ rozpędu, zapładniającej światy“. Obok bowiem pomysłu odmalo-

[1]) Zabłąkała się tu bardzo ciekawa i głęboko pojęta rozprawa Stefana Kołaczkowskiego p. t. „Nasz stosunek estetyczny do poezji ludowej“ oraz kilka utworów J. N. Millera, odznaczających się kulturą literacką. O poezjach E. Żegadłowicza—mówię w dalszych rozdziałach.

wania literatury pokostem Lenartowiczowskim, trzeba jeszcze do jej odświeżenia talentów.

Zgoła czemś innem są „Krokwie“ Romana Zrębowicza. Wydawca tego wytwornego pisma [1]) nie występuje do walki z tem, co przyniósł nowy pęd literacki, nie ogłasza żadnego programu, nie dąży do tworzenia wartości, obliczonych na efekt. Zbiera on tylko ziarna kultury europejskiej i ich plon na niwie polskiej, okazując, jakby z chęcią wywołania kontrastu, cośmy mieli w naszym dorobku. Spotykamy więc na kartach tego czasopisma, przypominającego nam „Chimerę“ Miriama — rozmyślania o Flaubercie i Dostojewskim, przekłady Chestertona, Schwoba, Baudelaire'a, W. Blake, M. Anioła i in. a obok tego utwory C. Norwida, St. Brzozowskiego, St. Womeli, K. Irzykowskiego etc. Nie ma między tem jednolitej spójni, pokrewieństwa duchowego — jednej linji dla zamierzeń redakcji. „Krokwi“ bowiem nie trzeba mierzyć miarą idei. Jest to pismo w rodzaju antologji, mającej na celu zapoznanie tych, co karmią się przygodną literaturą — z dziełami o trwałej wartości. Z tego też powodu, czasopismo oderwane od podłoża jakiejkolwiek aktualności — ma raczej wartość archiwalną, niż bezpośredniego oddziaływania na sfery czytelnicze. Może nawet na nie nie liczy, drukując ledwo 500 numerowanych egzemplarzy — ale to i lepiej. Nie będzie miało takich rozczarowań, jakie spotkały „Nowy Przegląd literatury i sztuki“.

Ostatnio wymienione pismo powstało z inicjatywy Władysława Kościelskiego, który swoje zasoby finansowe w dużej mierze przeznaczył na instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“. Nakładem tego to właśnie instytutu zaczął wychodzić od czerwca 1920 r. „Nowy Przegląd“ pod redakcją Wacława Berenta, Leopolda Staffa i Stefana Żeromskiego. Miesięcznik zakrojony na wielką skalę chciał tej „twórczości niezależnej doby ostatniej, która znalazła się całkowicie poza sferą wczorajszych i dzisiejszych zainteresowań ogółu polskiego“ wrócić jej znaczenie i godność. Inicjatorom zdawało się, że wystarczy zgrupować twórców rzetelnych, aby już samem tem zgrupowaniem wywierać wpływ na literaturę i kształtowanie się upodobań. Nie uczyniono zatem nic więcej ze stro-

---

[1]) Dotychczas ukazały się dwa zeszyty: Nr. 1 z listopada 1920, Nr. 2 z czerwca 1921 r.

ny redakcji jak to, iż zebrano prace firmowych autorów, w imię „odbudowy bodaj jednego, w miejsce tych dawnych, przybytków pracy twórczej... która pod pięknymi imionami swoich symbolów zapisała się w dziejach umysłowości naszej“. Tak pojęty cel pisma był niejako retrospektywny, i wskazywał na usiłowania, dążące do ukazania literackich walorów pisarzy starszego pokolenia. Ponieważ jednak walory te były nie tylko ogólnie uznane, ale i znane powszechnie, przeto dla czytelników, którzy z twórcami tej miary, co Kasprowicz, Żeromski, Berent i Staff zżyli się od lat całych, pismo nie przedstawiało żadnego interesu. Gdyby chociaż silniej zaznaczano swoje stanowisko wobec obecnych zjawisk literackich, gdyby choć raz zdobyło się na głośny wyraz własnych przekonań. Ale nie! I tem dowiódł „Nowy Przegląd“, że z dawniejszej epoki swój rodowód wywodzi, i dostosowanie się do warunków obecnego bytowania nawet w zakresie literatury—jest dlań nie łatwe. Piękny, wytworny gest i przypomnienie się, na długo wystarczyć nie mogły i dlatego po rocznem istnieniu pismo przestało wychodzić. Miejsce jego zajął „Przegląd Warszawski“.

Jest to jeden z ciekawszych eksperymentów, jakie podjęto, by wraz z zmianą tytułu, zmienić i typ pisma, chociaż tendencje zostały te same. Organ twórczy—przedzierzgnął się w pismo krytyczne. Tamten miał okazywać niezniszczalne pierwiastki sztuki, ten ma o nich mówić i uczyć je poznawać. W czasach zupełnego zaniku jakiejkolwiek myśli krytycznej, w czasach nieznajomości całego dorobku przeszłych pokoleń—jest to impreza bardzo pożyteczna, mająca, kto wie czy nie większe znaczenie, niż dorzucanie do skarbca poezji, istniejących już w nim utworów. Redaktor pisma—Wacław Borowy potraktował rzecz bardzo poważnie — to też miesięcznik, jaki stworzył—jest na nasze warunki wzorowy. Obok badań naukowych, zbyt może jak dla szerszego ogółu fachowych—znajdujemy tu bogate przeglądy bieżącej literatury i kronikę czasopism, orjentującą dokładnie o całym ruchu piśmienniczym. Od zamknięcia „Bibljoteki warszawskiej“ jest to pierwsze pismo, które z całą świadomością wielkiej swej odpowiedzialności przed czytelnikami, rozważa wszystkie twórcze problemy nie pod kątem dnia jedynie oraz chwilowych upodobań i zainteresowań. Z „Przeglądem warszawskim“ przybył literatu-

rze polskiej rzetelny sprawdzian wszystkich wysiłków artystycznych i pracy literackiej.

Dobiegamy do końca rejestracji czasopism literackich i rozważania głoszonych przez nie programów, względnie szerzonych idei. Jest ich, jak na krótki przeciąg czasu oraz na obecne trudności wydawnicze, dość dużo — ruchliwości okazują niemal wszystkie wiele, choć prawdziwego życia — a jeszcze bardziej żywotności—nie u wszystkich doszukać się można. Jest to zjawisko, które za symptom powojennych przedsięwzięć wogóle uważać należy. Ale jakkolwiek to za rzecz charakterystyczną dla czasów skłonnibyśmy byli przyjąć — gorzej byłoby, gdyby całą produkcję umysłową trzeba było z tego punktu widzenia osądzić. Bezwzględnie jednak ktoś kiedyś stwierdzi, że wszystkie ujemne cechy doby dzisiejszej znalazły swe odbicie w literaturze. Nie idzie tu o pruderję jakąś, lub moralność, której granice szkolne podręczniki etyki zakreśliły — ale o to gorączkowe, niespokojne tętno, o brak jakiejś wytrwałości w dążeniu do celu, o chęć zerwania za wszelką cenę z przeszłością, która niby straszakiem stała się dla wszystkich twórców, nie pomnych na ciągłość, jaka w dziedzinie ducha panować musi. Z rozbieżności tych haseł, które rzucają indywidualności w imieniu grup, a grupy w imieniu indywidualistów, widać nieskoordynowanie myślowe. To zaś jest przyczyną niemożności podjęcia zbiorowego wysiłku, zestrzelenia wszystkich myśli w jedno ognisko, wspólne dla psychy społecznej. Jak długo tego nie będzie — między literaturą a społeczeństwem nie nawiąże się kontakt żywszy. Będzie może czytelnictwo, rozwinięte na podkładzie zainteresowania i ciekawości, zresztą bardzo kapryśnej i niepewnej—nie znajdzie się atoli tej emanacji ogółu ku twórcom, tak potrzebnej dla wytworzenia kultury powszechnej. A poeci, literaci i artyści natrafiając ciągle na jałową glebę, będą bezustannie szukać klucza do serc i mózgów ludzkich. I to jest to właśnie, czego początek dziś już widzimy. Pogoń za wielkim ideałem sztuki nowej, formy nowej i nowej treści.

Kto go znajdzie i kiedy? Trudno prorokować, ale na podstawie znajomości wszystkich poprzednich kataklizmów literackich przypuszczaćby można, że zwycięży jak zawsze



Cmentarz. H. Szczygliński.

prawda i bezpośredniość, które po wsze czasy fundamentem sztuki prawdziwej były.

Im odleglejsze są czasy dzisiejsze tego ideału—tem dalsza jest droga do wielkiej sztuki, która może być wyrazem pokolenia [1]).

STANISŁAW LAM.



---

[1]) Następne rozdziały „Najnowszej literatury polskiej", które na tem miejscu drukowane nie będą, a ukażą się wprost w książkowem wydaniu, podają charakterystykę całego dorobku lat ostatnich w zakresie poezji, dramatu, powieści, krytyki literackiej i teatralnej. Obok omówienia twórczości wszystkich wybitniejszych pisarzy, znajdą się szczegóły bio-bibljograficzne, odnoszące się do danych autorów. Rozdział końcowy przyniesie syntezę najnowszego piśmiennictwa. *(Przyp. Red. Teki literackiej).*

Marzenie.

O, gwiazdo, przez błękitne pędząca rozłogi
tajemniczymi loty na skrzydłach z promieni,
powiedz mi: dokąd dążysz? gdzie koniec twej drogi?
czyli się twoje skrzydła stulą gdzieś w przestrzeni?

Ach, powiedz mi, księżycu, podróżniku senny,
co w zadumie przemierzasz mlecznych pustyń wstęgi,
powiedz: w jakiej otchłani — mrocznej lub promiennej —
szukasz przystani ciszy, kresu twej włóczęgi?

Ach, powiedz mi, ty wietrze, bezdomny latawcze,
błądzący wciąż naoślep po bezkresnych dalach:
czyli cię oczekuje gdzie ustronie zbawcze,
tajne gniazdo ukryte w drzewach albo falach?

I ty, co dniem i nocą łkaniem niezgłuszonem
i obłędnem się skarżysz, powiedz mi, o morze:
jest-li jakie wybrzeże poza nieboskłonem,
gdzie znajdziesz sen przecichy i spokojne łoże?

I ty, serce, — burzliwsze niżli morskie tonie,
chyżej niż wiatr przez wieczne gnane niepokoje, —
powiedz: czy jest w tym świecie lub tamtym ustronie,
gdzie znajdziesz sen i spokój? powiedz, serce moje!...

Auguste Lacaussade
tłum. M. G. Karski.

Nieskończoność.

Niewolnik przewielmożnych srogich praw żywota,
znałem swobodnych pragnień obłędne porywy
i zawsze przed bezkresem otchłani straszliwej
drżałem jak ptak więziony, co się próżno miota.

Jeno ostatnie słowo, li tajemnic wrota
chciał zdobyć duch, dla ziemskich zagadnień wzgardliwy;
a nieśmiertelne piękno i marzenia dziwy
z oddali ma serdeczna witała tęsknota:

Kiedym kochał — płakałem, iż moc tajemniczą,
co jako płomień w serca głębinach wybucha,
siły czasu i śmierci rychło ograniczą;

potem — wierzyć pragnąłem w wieczne życie ducha;
alem już dziś znużony, i po próżnym znoju
jednego tylko pragnę — wiecznego spokoju.

LEON VALADE.

tłum. M. G. Karski.

CZŁOWIECZEŃSTWO.

„Bądź przedewszystkiem człowiekiem“, majestatycznie prawią pedagogowie i moraliści.

„Człowiekiem jestem, nic ludzkiego nie jest mi obcem“,— wydedukowali starcy z rozbicia systemów i wiar.

„Oto człowiek“, — powiedział Piłat Poncki i temi słowami uznał człowieczość za wyższą cechę gatunku on — który był niezdolny dopatrzyć się boskości.

W epoce pogaństwa człowiek sięgał ponad siebie. Wobec typu wyższego, genjalnego, niepowszedniego następowała deofikacja. Byli półbogowie i bogowie. Było dążenie do podniesienia człowieka na stopień wyższy. Dopiero Djogenes zaczął szukać z latarnią człowieka. Jest to w dziejach ludzkich fakt przełomowy. Jest to koniec cudnego mitu i dążeń do Olimpu. Ideał ustępuje z Zeusowego tronu i chodzi po ziemi. Jest to uznanie niemocy ludzkiej. Zamknięcie się w obrębie możliwości najłatwiejszych, przeciętnych.

Ideał średniowiecza jest inny. W klasztorach i kościołach nie mówi się: bądź człowiekiem. Mówi się: przezwycięż w sobie człowieka. Pokora nie pozwala dodać: zostań świętym.

Święty jest wyższą istotą od człowieka. Czemś przeciętnem pomiędzy aniołem a człowiekiem. Ta twórcza wola człowieka tęskniła do typu wyższego, któryby opanował ludzką naturę i przyrodę i podporządkował je duchowi.

Ale odkąd odbywało się coraz to głębsze samoograniczenie się człowieka w człowieczości wstrętne zakochanie się w sobie i apoteozowanie siebie, dla człowieka stał się ideałem coraz ostateczniej i beznadziejniej człowiek.

Wyobrażano go sobie, oczywista, nie w tej podczłowieczej, płaziej i wilczej postaci, która jeszcze Djogenesowi kazała go szukać z latarnią. Wyobrażano, jako idealny prototyp, którego jednak nikt zrealizowanego nie oglądał na ziemi.

Chodziło tylko o to, że twórczość ludzka z góry stawiała tu sobie kres. Rozwinąć w sobie człowieka — to było całe dążenie. Podnieść i wzmocnić pewne lepsze zarodkowe cechy — nie zaś tworzyć bezgranicznie, iść ku temu, co rzeczywistość przerasta.

Były zresztą i takie dążenia. Wśród zabójczej i tępej podczłowieczości powstał sen o nadczłowieku. Ale ten nadczłowiek miał mieć pruską pikelhaubę i mocną pięść. Ludzkość z pogardą odwróciła się od wzgardziciela słabych i antychrystowego podeptacza wartości najdroższych, z trudności wypielęgnowanych przez wieki.

Ideał jaskiniowego niedźwiedzia porwał niewielu.

Więc po bankructwie nadczłowieczeństwa znowu się propaguje człowieczeństwo. Propagują je zwłaszcza Żydzi, którzy wyrzekli się z narodami europejskimi wspólnoty w Bogu. Więc głoszą wspólnotę w człowieku.

Nietzsche miał w jednem słuszność: człowiek jest czemś co powinno być przezwyciężonem. O przezwyciężeniu człowieka, o przezwyciężeniu ziemi mówi i myśl religijna. Nie o zniszczeniu ziemi, lecz o opanowaniu przez ducha.

Humanitaryzm stoi na gruncie realnym, chce ziemi dla ziemi. Uznaje jej samocelowość i samowystarczalność. A więc prototypa szuka w obrębie ziemi — doświadczalnie.

Z wyjątkiem tych, którzy stali po za humanitaryzmem i do których on się nie odwołuje (to jest świętych) ludzki speciman mało daje powodów do zachwytów i dumy. Nawet bohaterowie i geniusze mieli odwrotną stronę, a tą stroną była małość i wady rażące. Przeciętny zaś typ bestji ludzkiej daje tak przerażające pojęcie o gatunku, że trudno go nawet idealizować.

Cudne cechy godne naśladowania to są właśnie te, które wyrobili w sobie wybrańcy przez przezwyciężenie człowieczeństwa, przez wzniesienie się po nad nie. Nie są to charakterystyczne cechy, raczej wyfantazjowane przez spotęgowanie, niż poznane doświadczalnie.

Zamiast więc ze śmiesznem zaślepieniem pławić się w dumie swej marniutkiej człowieczości, zamiast siebie stawiać za wzór dla wszechświata, lepiej skromnie sobie powiedzieć:

Człowiek jest w chwili obecnej dla człowieka bolesnym wstydem i dążyć do stworzenia wyższego typu.

Dążyć ponad siebie — cóż za droga szeroka i otwarta! Jaki bezkres możliwości! ciągły wzrost i uskrzydlenie.

Każde zjawisko świata dąży do samopotwierdzenia, do trwałości. Każda istność rzutuje przed siebie w formach własnych. Foka gdyby umiała zajmować się pedagogją, mówiłaby do swych małych: — Bądź przedwszystkiem foką!

Człowieczeństwo... Uznanie łagodne i tolerancyjne wszystkiego, co niższe ułomne, rozgrzeszenie się ze wszystkiego co jest usprawiedliwiane, bo „ludzkie“.

Nawet „arcyludzkie“.

Nie błogo poklepywać się po brzuchu w zastoju usprawiedliwionych krzywizn i niedociągnięć ludzkich lecz na nogi się zrywać.

Tworzyć ponad obecnego człowieka! Tworzyć nowy typ podobniejszy duchom i aniołom, niż bestji.

HANNA ZAHORSKA (SAVITRI).



SŁOWIK.

W Podgórnej — w dawne bardzo czasy — żyli gospodarze jak się patrzy, co o swoje dobro umieli zabiegać — pracując uczciwie, Pana Boga zaś, jako przykazane, z całkiej duszy chwaląc. Jeno — że nijakiej zgody nie mogło być z dworem, bo to zawsze rozchodziło się wedle tych pańskich łąk, co to graniczą z jeich łąkami.

Po stronie chłopskiej, jako gront jesta mniej a iwantorza trzeba trzymać przydużo, bo i z przychowku coś nie coś przyńdzie, a i rola mierzwy potrzebuje, i mleka nie sposób kupać, — więc w parę niedziel wyterte już było do cna, że choćbyś i takiego robaka wypuścił na paśnik, to jeno wąchać będzie i chodzić, a zębów to mu się nawet jedna trawka nie imie.

Po dworskiej stronie, że to znów nie paśli, jeno na sprzęt było ostawiane, to ci siano po same kałduny bydłu wyrosło.

Nie dziwota też, jako poniektóry gospodarz, co raz — przykazywał swoim chłopokom, żeby bydło w dworskie puszczali, jeno dając baczenie, niechby polowy abo pan rządca nie zajon.

W nocy to i sam chłop popilował swojego dobytku w szkodzie, abo też który ze starszych chłopoków.

Najbardziej psocił się dworowi gospodarz — Brzózka, niby nie sam, jeno więcej bez syna swego — Wawrzeńca, który nietylko umiał spaść kawał łąki, ale zamanuwszy to i w płachcie stamtąd siana przyniósł.

Chłopok — jeszcze łońskiego roku — a już do kosy z inszymi na dworskiem stawał, a wiadomo — liga przeciech była i zboże skołtunione, że i z tej i z tej strony trza było zachodzić a ręców ponarozrywać, że — Jezus!... Zredził, aże się temu probante chłopy dziwowały, zaś, jakby od tego czasu, takiej dufności dostał w sobie, że ciągiem a jeno powiedał: — Przeciechem już nie dzieciuch, i gront po ojcach dostanę, i wszelakiego dobra, i co potrza, to i wedle baby, że to pospólnie człowiekowi raźniej, małowiela a trza już po somsiedzkich komorach się rozglądać, jeno strach żeby nie popaść na pyskatą abo też plociucha.



Zamieć. H. Szczygliński.

Młody był a taki już przemyśliwy.

Najbardziej podobał sobie Józkę od Grzębołów, — i ona jakoś wstrętu do niego nie miała.

Dziewuchy na jej podobę szukać na całką wieś, a i w okolicy też chyba takiejby nie nalazł—i do roboty, i do zabawy, i do wszystkiego, a do chłopoków — to jeno jej się zęby śmiały, choć później już na żadnego nie chciała patrzeć, tylko na Wawrzona.

W końcu obstanowili sobie, jako się mają pobrać, a na zapowiedzie dadzą zaraz po świętym Janie.

Starzy też redzi byli ożenkowi syna, bo Józka wychodziła z dobrej famielji, i krowę w posagu dostanie i gotowego — ta — coś nie coś.

Zalecał się do niej jeszcze i ten Jasiek Bieleszczak, co to służy za fornala we dworze, a ojciec jego ma gospodarkę w Roztoku, granica jeno z Podgórną.

Ale Józka, gdzie tam, ani słyszeć nie chciała o Jaśku, jeno jej ciągiem we łbie Wawrzon siedział.

Jasiek miał bez to złość do tamtego i jeno zębami szczękał, jeżeli się kiedy gdzie spotkali, abo i na Mszy świętej w kościele.

Któregoś wieczora, razem z inszemi chłopami, zbierał się Wawrzon na dworskie łąki. Józka radziła mu ostać w domu.

— Żebyś tych łąków aby nie miał dosyć — powiedała — zobaczysz, że niech no przypilują cię dworscy, to ci się pewnikiem na drugi raz odekce.

— Odekce, nie odekce — odpowiedział drzaźniąc się — ale i ręce mam nie od parady, a na łąki, nocą, bez widłów się nie ruszę.

— Chodzisz na te łąki, a chodzisz — prawiła — a ja nijakiej spokojności bez całką noc nie mam i, co raz, to się budzę a letę do okna nasłuchiwać.

— Nie bój się Józka, nie bój — uspakajał — nic my nie będzie, nic.

Jeno się ciemno zrobiło a chłopi, zara, iwantorz na łąki dworskie wygnali.

Księżyc świecił, a gwiazdy skrzyły na niebie, że i człowiekowi jaśniej się na duszy robiło, i żaby grały wesoło po łące, jak to zwyczajnie — w nockę czerwcową:

— Rrree... rrree... rrree...

I tak było ciepło, jeno wietrzyk czasem od łąki chłodniej trochę zadmuchnął, przynosząc miłą woń wybujałej trawczyny i kwiecia.

Rozmyślał Wawrzon o swojej Józce... że to się już niedługo pobiorą... jacy będą szczęśliwi... jak to się doczekają drobiazgu... jak im drobiazg będzie rósł w oczach... jak chłopoki i dziewuchy podorastają i pobiorą się z inszemi — i znów będą mieli dziećczyska... i tak ciągiem w kółko, do końca, a do końca świata...

Aż mu się zakręciło w głowie od tego myślunku — a w taką ładną nockę to by się ino ciągiem myśleć myślało...

Iwantorz skubał trawkę, Wawrzon zaś ady jeno medytował o Józce i o tem swojem kochaniu i szczęściu pobliżkiem... I tak ckliwo robiło mu się na duszy, i tak wszystko jakoś przeinaczyło się w rozumie, że — ooch!...

Zdawało mu się, że jest w zaklętym kraju i siedzi sobie na łące, a po trawie rosa z brylantów rozrzucona świeci — niby gwiazdy, jakby z nieba deszczem cudownym na ziemię zleciały, zaś co który kwiat — to mu się kłania swoją tęczową, śrybrną a nie — to i złotą koroną, jak ten miesiąc o pełni ścielący swe promienie pod stopy człowiecze — — — i żaby ludzkiemi wołają głosami, i tyle a tylachna tam dziwności!... A przez łąkę, niby obłok jasny, zaczarowana królewna, dycht na podobę Józki, dąży do niego w słonecznej — zorzą przetykanej sukni...

Sen go zmógł. I marzyło mu się o dziwnych dziwnościach, i o przecudnych krajach, i o tem szczęściu, co się samo do niego uśmiechało...

Aż tu, nagle, zakotłowało się na łące. Dworscy znienacka zjechali z panem rządcą i — dalejże — zajmować bydło ze szkody.

Chłopy pozrywały się — i Wawrzon chycił za widły. Nie zdążył jeszcze ze śpiku dobrze rozprostować kości, — jak tu nie przyskoczy jeden z dworskich, ten to Jasiek Bieleszczak, i jak go nie polnie kłonicą bez łeb — to jeno cosik w niem zachrzęściało i czerep się załamał.

Chycił się Wawrzon za głowę, postąpił parę kroków, zatoczył się... łąka mu z jednej strony ciemnemi ścianami stanęła, z drugiej — gdziesik się zapadła, miesiąc w paręnaście gwiazd się rozleciał... wszystko naraz zapaliło się w jasność

tęczową i w tę chwilę zgasło... on zaś—runął wśród wysokiej trawy, że byś go wcale i nie dojrzał, — ani jęknął, — jeno tak jakby się znów do śpiku ułożył.

Chłopy uciekli, bo dworskich było więcej, zaś bydło jeich toci zajeni na folwark.

Dopiero rano, kej słonko się podniesło, spostrzegli we wsi że Wawrzeńca niema.

Dalejże go szukać a przewiadywać się po chałupach.

Aż któryś z gospodarzy zauważył, że pewnikiem musiał tak mocno zasnąć na łące, bo był chłop zdrowy, że i hałas i ta bitka w nocy, ani go przebudziły.

Poszli szukać w to miejsce.

I naleźli — ale już bez duchu.

Wzieni ciało Wawrzonowe. Ponieśli do wsi. Zleciało się narodu, jak mrowia, a każdy żałował i powiedał, że drugiego takiego chłopa — oho — już nie naleźć.

Józkę musieli ludzie trzymać za ręce i dawać na nią baczenie, bo z tej żałości nie wieda coby sobie zrobiła.

Medytowali chłopy z sołtysem, czemby tak czerep bidakowi ozwaliło, a gdy i z urzandu — sędzie i doktory, i jensze medrce przyjechali, świadomem się stało, jako tak okrutecznie zmorzył go śpik na łące, że i nie słyszał nawet co było kiedy dworskich przyniesło—a w tem ganianiu to koń go tak szkaradnie kopytem bez łeb polnął.

A no — pewnie, że nie inaczej – jeno tak.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Kilka miesięcy zeszło od tech wypadków, i jakoś—pomalu — zapominali ludziska o Wawrzonie, jeno Józka jeszcze gdzie w kącie popłakiwała niektórego wieczora, choć ta i namowy Jaśkowe miały już w sercu jej inakszy posłuch i w głowie inne uważanie. Że zaś i ludzie we wsi też przekładali na swój sposób, nie dziwota, jako dawniejsze — że to już się nie wróci, zwolna a zwolna zatracało się w jej rozumie, niby opar na wodzie, gdy go niezgorzy słonko promieńmi obleci.

Zesłał Pan Bóg zimę, co królewskim białym płaszczem w djamenty usianym, dobrotliwie szarą ziemię nakryła, strzegąc pól ozimych, od psotnika—mroźnego wiatru z północy.

Radowali się ludzie śnieżnej zimie, że—„jak zła zima to nic niema" abo i—„bez śniegu chłód—będzie głód".

Radowało się i serce Józcyne, radowało zimie,—jeno że chłopy po swojemu a dziewuchy znów na inną modę się radują. Gdzie ta im profit dalekich rżniw obliczać! Karnawał... muzyka... tańce... zapusty... Oj, roją się sny złote a radość serca nawiedza! bočto—„przyjedzie luby—będą śluby"—i gdzieby zaś było takie serce przeciwne onym królowaniom radości i wesela?...

Potrosze, a potrosze zabaczyło się Józce o dawnym smutku—kochaniu... Jasiek przeciech nie gorszy od innych, a dziarny—że i Wawrzonowi by dorównał. Obejmie w tańcu—aż mrówki człowiekowi po plecach przeńdą, przytupnie—aż serce w piersi zara osujnie się niżej, a pocałuje i naściska — że nikt nie widzi—oj, ludzie... ludzie!...

To też kiedy ją raz wieczorkiem nasiadł w komorze i zapytał: „Bedziesz moja?" nic, jeno odpowiedziała: „Bede..." i dopiero po północku przypomniało im się, że czas każdemu do siebie.

Krew nie woda, to i spotrudna o taką dziewuchę, żeby się gorącości chłopoka oparła...

Zara potem a już wyszły jeich zapowiedzie, zaś wprędce ślub—i ostała Jaśkową kobitą.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I znów przyszła wiosna—zazieleniło się po świecie i inaczej jakoś stało się człekowi na duszy...

Po łące—ścieląc się wśród szmaragdowych kobierców—kwiecie ku niebu białe główki podnosi, wdzięczne za królewny-wiosny tchnienie ożywcze, — ozimina ruszyła się już na polach—z zieleni swej pleśń zimy strzepnąwszy, a ciepła rosa stroi ją brylantami na święto budzącego się życia... drzewa w sadzie—promieniejąc kwieciem—zlekka a nieśmiało zieloną siatką listowia korony rozłożyste otulają — a kwietny zapach wiosennego tchnienia—wszędy—z łąk, pól i sadów, płynie ku wioskom, by nową nadzieją serca ludzkie ożywić... ptaszęta zaś—jakby się zmówiły—świergoczą ziemi i śpiewają niebu...

Poszedł człek wyjrzeć na świat... dziwuje się mądrości Boskiej — i cosik wzbiera w jego piersiach... chyli się na kolana, ziemię-matkę całuje, a łzy radości, jak groch, w jej dobrotliwe ciepłe łono wsiewa — i płynie modlitwa ludzka po strunach pieśni skowrończej, niby ptaszę—przed Tronem Najwyższego sfruwając — — — — — —

Pracowała Józka w polu a była w robocie Jaśkowi pomocną,—pracowała rzetelnie—radując się życiu i jego mocy przez słonko w ziemi-matce utajonej... I dobrze jej było w polu, i dobrze w obeńściu przy chacie, i tak dobrze wszędy, że serce jeno rwało się z piersi i radeby wszystko, a wszystko, ciepłem szczęścia po świecie oblecić.

Było już na pół maja.

O, świecie, jakżeś ty się ustroił, jakie szątki przyoblókeś na ten miesiąc Przenajświętszej Panienki! Boć jakże Jej chodzić bieluchną stopką po zimnej szarej ziemi, jakże to jej oczkom opercia nijakiego nie naleźć?... Pan Jezusek Mateczce swej rozściełą — precz — takie zielone kobierce po świecie i drzewa w liście przyodziewa a co mu które kochańsze—to i kwiatkami upiękni!

Wesoło było Józce, oj wesoło, tak letko na sercu, na to wszystko patrzący.

I lubiała, po dniu pracy, z wieczora przysiąść u proga chałupiny i spoglądać na niebo kraśne jeszcze po słoneczku, a złocące się od kraju do kraju, że i dziwno patrzeć na takie piękności i mądre Boskie urządzenia, których człek tknąć nie może, ni pokalać swojemi rękami.

Po kolacji i oprzęcie rwała się —jeszcze na niebo popatrzeć, na te gwiazdki, okieneczka krąglutkie do niebios, przez które duszą by człekowi chciało się przejrzeć, gdy oczy do tego nie sposobne. A świeci się tam... a miga... a jasność taka i dzień wiekuisty za niemi — — — — —

Siedzi sobie na przyzbie i pomyśluje... Na chwilkę jeno odleciała rozumem do chaty:

— Zaczkam na Jaśka — powieda — tylko patrzeć jak z boru z jenszemi powróci; dużo chojaków pono mieli dziś do kładzenia... ponarozrywa się bideczysko, ponarozrywa...

I znów zaczena, przez daleką noc, na gwiazdy a niebo spoglądać, aże sama się nie spoździała jak ręce jej się na modlitwę zawerły, jak klękła wpodle chaty, jak miłowanie tych piekności łzy z oczu ciurkiem jej odpuściło.

I modliła się najpierw do Pana — potem do Przenajświętszej — a potem i za ludzi co żyjące i tech wioskowych co pomerli. Wspomniała i Wawrzona, że był już taki jej zwyczaj.

Aż tu od gaju, o parę staj, czarowna pieśń się ozwie... jakby dzwoniło po kniei — — —

Chyci się Józka za piersi — bo śpiew dziwno w jej serce przylatuje i struny tajemnej dotyka, dźwięcząc tęsknotą i bólem...

Słowik to był.

A śpiew ptaszyny bożej płynie w jej serce temu ozwarte — i gwiazd promienie ścielą się do duszy — — —

Niby mgiełka z dali — przez ból i tęsknotę — wspomnienie dawne ku niej przychynęło — — miłowanie to wielkie... Wawrzon... Śmierć... O Jezus!..

Porwała się i nie baczący na nic, bez pole, lotem biegła przed się do gaju, a pieśń coraz bliższa — uderzała mocniej w jej serce, i odżyło tam — co zdało się być pogrzebionem...

Niosła się pieśń po gaju — niosła po sercu Józcynem.

Że też człek tej mądrości nie ma — żeby ptaszka — takiego roboka zrozumieć... a on ci człeka rozumie, bo pieśnią w duszę od jednego razu popadnie — — — wie którędy mu potrza.

Bez nockę całą tłukła się Józka po gaju za pieśnią słowika, nie wieda sama co robiący, jeno wsłuchana a tęskna, oj — tęskna taka...

Zbudził się dzień — — rozwidnił pola — gaj — łąki — i dopiero napomnił jej o świecie.

Zapłakała — — — —

Wolno, przez pole, strącając stopami rośne łzy z zielonej runi, szła do chaty, tając wszystek ból i cierpienie, głęboko, głęboko pod sercem.

Jasiek, kawał czasu już na nią z niespokojnością wyglądał a użrawszy, rwał naprzeciw — po zielonych zagonach.

Dopadłszy, chycił za ramię:

— Rety, co się z tobą stało? świat czasu, jak wróciłem z boru... o Jezusie... Jezusie!..

— Jasiek, — odparła — nie gniewaj się Jasiek, Jasiek, ja... ja—jeno... do gaju...

— Gdzie ta ci nocą po gajach lotać, — wydziwiał — kobito, pozbyłaś rozumu, czy co takiego?

— Jasiek... — nie zredziła już więcej mówić, bo taka żałość chyciła ją za grdykę, że jeno wybuchła płaczem a do ziemi kolanami przypadła.



H. Szczygliński w pracowni.

Zmiarkował, że widać co jenakszego musi być w tem gaju... aleć zara zmógł w sobie złość, żeby to się czasem nie wydać ze swoich domyślunków... jeno poprzysiągł w rozumie, kej przyńdzie chwila — z cicha upiluje, a potem — no!

Od tego dnia Józka baczyła — żeby Jasiek nie zeszedł jej czasem na słuchaniu, aleć, zawsze z wieczora, abo i później ździebko, upatrzyła sobie przeciech jaką chwilę na posłuchunek onych słowiczych piosenków.

— Będzie się sierdził — powiedała, rozglądając się ostrożnie — nie trza mu być na oczach, bo to i grzych dawać komu kiedy jaką okazję do gniewu.

Ale Jasiek, choć ta i pilował, nie zeszedł jej jednak na niczem takiem, a jeno furt widział w niej wielką otmianę, — przybladła jakoś a i w patrzeniu już tej wesołości nie było, a czasem to nawet zdało się człowiekowi, że — jeno, jeno, a ryknie płaczem na całką chałupę, a najbardziej — niechno tylko słowik zacznie śpiewać w gaju.

Dziwował się Jasiek w swoim rozumie a medytował, boć to i sprzęt wszelaki miała, i iwantorzu co potrza, i kury niesły się okropnie, maciora też odposała się galanto, a zaś — cosik to Józce musiało doskwirać.

A ona, furt, rwała się, a rwała całką duszą w gaj, do tych czarownych ustroni skąd — nocką — płynęły przedziwne pieśni, po srebrnych strunach promieni miesiąca, przelatujących między listowiem — do ziemi, do serca, a i porównie do tego roboczka, co w mchu i trawce, niby w wielgachnym lesie siedzi.

Jednego dnia, że to przyszła — zwyczajnie jak nocą — kolej na Jaśka do wartowania we wsi, pojadłszy sobie a wziąwszy w garść sękacza, poszedł na stójkę, Józkę ostawiwszy jeszcze przy pacierzach. Sam to w chałupie ich dzisia nie zmówił, a — żeby mu się nie mierziło — jon one klepać po wsi chodzący. Otmówił już prawie wszystkie, gdy znów przyszedł na miejsce przeciwko swojej chałupy.

Miesiąc świecił a cichość była taka, że jeno naszczekiwanie psów dolatywało od czasu do czasu z oddalonych wiosków.

Przystanął Jasiek a spogląda po nocy... Aż tu od gaju zaniesło takiem nazwyczajnem śpiewaniem, że chyba już nie ten ptak śpiewa — a jakie co jenszego.

Słucha a słucha, tak samokcący, ale pomiarkował się zara, wspomniawszy na Józkę, jako na śpiewanie te jesta taka mientka, — splunął, ozeźlił się na ptaka i miał znów odeńść we wieś. Aż tu — zwolna — ozwierają się drzwi od chałupiny a Józka rozgląda się wkoło. Przywarował za krzem, żeby go nie spostrzegła.

Stała tak chwilę, potem chyłkiem kele chałupy, zaś przy stodole i na tę miedzę między zagonami — a do gaju.

Dech sperło Jaśkowi, aż pięście zacisnął w sobie a kijem szczęknął po kamieniu.

— Ptak, to ptak — szepnął bez zaciśnięte zęby — aleć zawsze może tam być i co jenszego.

Zaczon bieżyć za nią, coby go nie widziała, obiecowując przypilować w gaju — a potem...

Skrada się jak ten lis, to podeńdzie, to przystanie na chwilę, to znów posunie się ździebko, zaś miarkując, żeby go nie obaczyła.

Idą a postępują — coraz to zbliżając się do gaju.

Była już Józka niedaleczko zarośli, gdy odrazu takiem przedziwnem ćwirkaniem, takiemi srebrzystemi dzwonkami ozwało się słowicze śpiewanie, aże w samo serce popadło. aż się chyciła za piersi, bo by się chyba całkiem ozwarły a duch by ją z tego ozrzewnienia odleciał.

Przypadła na kolana... rosą jej zaświeciło w oczach — a już łzy, niby perły, płyną po twarzy i co która—to w szarą ziemię jako ten ciepły deszczyk się toczy.

— Wawrzon... — wyrwało jej się z piersi — Wawrzon... — przywtórzyła głośniej — Wawrzon mój, Wawrzon...— płakała.

Doszło to uszu Jaśkowych, nie zdzierżył, zebrał się w sobie i — kej nie spadnie — od jednego razu wyrwał ją z ziemi, nie rzekł i słowa, jeno płaczącą wlókł a wlókł do chałupy.

Jęczała bidactwo a prosiła, a te oczy łzawe błagały jeno zmiłowania, nic to — ciągnął ją kej ten wiechetek, a w chałupie cisnął do stancji, sam zaś poszedł na obórkę, po drabce wdarł się na górę gdzie siano leżało w zachowaniu, pogmyrał tam w kącie, cosik wyciągnął i zeszedł znowuj na dół.

Przy lampie zaświeciła się lufa flinty.

— Józka — powiedział, aż okropnie było słuchać — osta-

niesz tu ździebko a ja póndę upolować twojego ptaszka, coby cię zaś tak zawdy nie osmucał.

Stała, jakby nogi w ziemię wrosły — a wszystko kotłowało się jej dokoła.

— A posłyszysz, jak na gaju huknie — dokończył — to już wtedyk po nim.

Zerwał się znagła. Chciała bieżyć, zatrzymać go, ale już był drzwi za sobą zatrzasnął i podparł jeszcze kołkiem, tako uczynił i z okiennicami, że nijakiego całkiem wychodu z chałupy nie było.

Ciskała się biedna po stancji, poraniła palice o szyby, oknem chcący wychlusnąć, gdzie zaś — ani drgły okiennice. Po stancji zaczena lotać, jak to półtora nieszczęścia abo i szalona, a derła się na całki głos, ale z zawertej na moc chałupy, jeno jakby miaukanie kota do jenszych chałup dolatywało, to i kto tam co mógł dosłyszeć takiego.

Ptaszka zabije, ptaszka, co najukochańszy jej na świecie!..

A Jasiek z flintą w pazurze biegł bez pole do gaju, za odgłosem piosnki słowika; dopadł pierwszych drzew — przystanął — rozejrzał się — przysłuchał — i już z ukradka a cicho prześlizgiwał się jak ten wąż między drzewami, jeno czasem za kierz poniektóry chowając się dla wymiarkowania kędy mu iść wypadnie. A szedł prosto na śpiew, — gdzie zaświergocze — tam on się przekrada; już — już — parę razy składał się do flinty — jeno tylko strzelać, a ptak — czy złe jakie — w dycht jenszem miejscu się w ten raz odezwie. Zlatał tak szmat gaju za robokiem, i ani go dostać — taki ci cwany był a sposobny.

Widział go zaś z blizka, jak przefrugnie, i tylko tyle — i znów przepadł, aż ozwie się o parę staj dalej.

— Doczkasz ty swego, doczkasz — klon i z większą jeszcze zawziętością gnał a przyczajał się za niem.

Prześwitało już między drzewami na drugą stronę gaju. On furt gonił a tak się zawzion, że i przyodziewek o poniektóry kierz trochę nadderł i zaś — oterł się łbem o inszą gałęź, że i kudłów przygarść na korze ostawało, a złość jeno nosiła go po gaju, i ozzuchwalił się jeszcze bardziej, bo ptak jakby trochę zwątpił na mocy z tego długachnego ganiania, i — choć ta psocił jeszcze — bliżej jednak odzywał się i dłu-

żej przesiadywał na miejscu, aż ostatni już czas do odlecenia nadchodził.

Patrzy Jasiek — usiadł ci on na ostatniem drzewku na skraju, gdzie gaj ocierał się już bokiem o trzęsawiska. Było pod księżyc — to i do strzału, jak nie potrza lepiej.

Zaperł ci dech a przymierzył się do niego, zaś z tej radości aż mu w oczach wszystko skakało. Wypolił... Hukło!... po gaju rozniesło się od drzewa do drzewa, jakby w jakie sto strzelb wygarnął, a dym chmurą rozesłał się przed ślipiami, że i niewieda gdzie światu Bożego szukać.

Jedną chwilę stał tak, jakby go do ziemi trzymało, chcąc bez kurzawę choć coś nie coś rozeznać, a gdy zrzedła, oderwał się z miejsca szukać, że to go pewnikiem ubił.

Ale — — — jak tu nie zaświergoce na kępce wśród trzęsawiska, jak nie rozdzwoni się, jak nie rozśpiewa!...

Ryknął Jasiek, kej ten zwirz, abo jenszy co rozumu pozbędzie, w oczach mu z tej złości zamroczyło... Odwrócił jeno flintę od końca, chycił ją za lufę, w dwie ręce do góry ułapił i, z kolbą już, skoczył za głosem — z miejsca od jednego razu.

Nie nalazł ci nogom opercia, jeno zwalił się w samo bagniste mokradło.

Rżnął flintę, jon się ciskać, a ratunku wołać na świat cały, — a co się poruszy a zawoła — to głębiej zapadnie, i tak zwolna szedł, jakby go tam — raz po razu — ździebko — a jeno cięgiem już w głąb ciągnęło...

Przyjmowała go topiel, ozwierając się w dół pod jego nogami — — do pasa najpierw — potem po ramiona — po szyję — aż i gębę zapchało mu błockiem, a w końcu zawerło się nadełbem i, tylko chwilę krótką, lejek mały kołował w tem miejscu na trzęsawisku, wprędce zaś wyrównał się wkrąg z topielą, jakby się tam już nic takiego nie przytrafiło, tylko, że czapka pływała po wierzchu.

A słowik odfrugnął do gaju, ale już takiej żałości dostał do człowieka, że od tego dnia świergotać, a dzwonić mu się odechciało, choć przódzi na całki rok śpiewki sobie obmyślił. Że zaś przypadło to na dzień św. Wita, to i powiedają od tego czasu: „Na święty Wit — słowik cyt".

Rankiem — kiedy słońce, naleźli pastuchy Jaśkową czapkę, ale gdzie ta im było w tej przepaści szukać Jaśkowego ciała...

A we wsi w ten czas odperto chałupę. Józka ci tam wpodle drzwi leżała, bez czucia, i ledwo że ją odratowali.

Nie wróciła już do rozumu, jeno pletła jak na mękach, to o tem, to o jenszem, aż dziwno było każdemu takiego czego słuchać, więc drapał się naród po łbie i medytował, a różności sobie o tem powiedano.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I myślałby kto, że już koniec, ale gdzie tam! Od tego czasu niesło Józkę jeno po wioskach wokoło — to po polu, a nie — to do gaju wpadnie, aż musieli dawać na nią baczenie, bo by dnie całe bez strawy ostawała, szukający czegoś, a łotający za czemś.

I tak bez całki rok — aż do nowego maja, a gdy zaświergotał znów słowik, że to go Matka Boska — ostatni raz — jeszcze na ten swój miesiąc o to uprosiła, a już na przyszłe maje śpiewać nie przyobiecował, Józka łotać po świecie przestała i — jak dawniej — szła znów cicho, ze łzami, od chałupy — miedzą do gaju, wśród zieleni pól poświatą miesiąca oblanych — szła — rosą łez swoich, niby w perły, znacząc ścieżynę, wiodącą do tych jednych jeszcze jej szczęśliwości, szła — wśród srebrzystych promieni miesiąca i — rozdzwonionej pieśni słowiczej — — — — —

A jako rozum inakszy miała od innych, to i słowika łacno było jej zrozumieć, i gdy już była poblizko a gajem przemykała, jakby to najprościej dostać się do niego, nawoływał ci ją śpiewem a zawodził — że dycht był to głos Wawrzona, takusieńki, słyszała przecie.

— Wawrzon, Wawrzon!... — wołała bez pamięci.

I ozwierały się przed nią złote bramy a tam — cudowne słowicze gaje, zaś Wawrzon szedł naprzeciw, tak letko jak ta mgiełka i powiedał:

— Józka... Józka... Józieczka moja... chodź tu... chodź tu... chodź tu...

I szła — — —

Tulił ją i pieścił, i tak osłaniał, i tak się z nią cudował — i tak wygadzał, jakby to jaka księżniczka abo i królewna była.

W miłowaniu chodzili po czarownych gajach, jakby po królestwie swojem, on zaś przedziwne różnoście opowiedał. I płynął jego głos perlisty, płynął w przestrzeń powie-

trzną — niby najpiękniejsza muzyka, niby śpiew — miłością w najgłębszych serca ustroniach dzwoniący.

Człowiek?... toć człowiek okiem jeno szarą widzi ptaszynę, śpiewu zaś takiego gdzie ta mu zrozumieć?... Ale niechno tylko ziemskiego rozumu pozbędzie a serce anielską miłością mu wzbierze, oj—insze światy się przed nim rozsnują, inaksza pieśń doleci...

A gdy o słonku, rankiem, pieśń cudowna milkła i czarodziejskie krainy we dniu się rozpływały, wracała Józka do chaty, z letkością na sercu, błogosławiąc gorącą modlitwą niebo za tyle dobra, co choć przez ten niedługachny czas w roku użyje.

Widząc kuntentność biednej Józki, Matka Boska uprosiła u Jezuska, żeby odtąd przykazał słowikowi, zawsze — raz do roku — choć przez jeden miesiączek śpiewać, a Pan Jezus litościwy wysłuchał prośby, jako zwykł, dobrotliwie, przykazując odtąd słowikowi piosenką dzwonić i w kochające serca zalatywać.

Nie markocił się ptaszek tym Boskim przykazem, boć w niem przecie też kochające serce kołatało, to i śpiewał, to i dzwonił po gaju a przestawał dopiero na św. Wit, że go żałość do złych ludzi w ten czas za grdykę chwytała, zaś — co maj—znów do serc powracał z piosenką, tuląc i pieszcząc je srebrzystemi falami miłosnej modlitwy, czarownie rozdzwonionej w cichą noc wiosenną — — — — — — — — — — —

To też nie dziwota — dla kochających najmilejszy miesiączek jest maj, że słowik wtedy świergoli, — zaś ludzie odtąd powiedają:

„Kiedy — słowik — maj,
Zakochani — w gaj”.

WALENTY ZIELIŃSKI.

N O W E   K S I Ą Ż K I.

Wacław Filochowski: „CZARCI MŁYN”.

(Warszawa 1922. Nakładem „Placówki”).

Podobno niezłe były to jeszcze czasy, kiedy żywe zastosowanie znajdowała owa maksyma Alfonsa di Castiglia: „Palcie drwa stare, pijcie stare wino, czytajcie stare książki i zwierzajcie się jeno starym przyjaciołom”.

Tak — dzisiaj (niewspominając o winie) „czyta się” tylko nowe książki nowych autorów. Czytelnik współczesny rzuca się na nie łapczywie, pochłania je szybko, chociaż rzadko asymiluje. Z równą pasją pożera Berenta i Mniszchównę, za busolę orjentacyjną służy mu reklama księgarska lub kurjerkowa recenzja.

Literatura poniekąd jakby dostrajała się do tej mierności i niewybredności ludzi nowych, zalewa nas falą rzeczy słabych i bezbarwnych. Na dobrą książkę trzeba w Polsce czekać; dobra książka to obecnie rara avis na morzu polskiej przeciętności.

Takim rzadkim ptakiem jest właśnie nowy tom nowel Wacława Filochowskiego. p. t. „Czarci młyn, legenda nowej Warszawy”. Wystarczy przeczytać tam kilka stron naprzykład z „Psyche Łowczanki”, ażeby się przekonać, że ma się do czynienia z organizmem twórczym nawskroś oryginalnym i nowym. Przedewszystkiem język: polszczyznę Filochowskiego cechuje zdumiewająca pewność, doskonała konstrukcja zdań i głęboka logika wysłowienia.

Filochowski buduje wprawdzie dopiero swój styl, ale przystępuje do tego z całą maestrją artysty obdarzonego zdolnością subtelnego wnikania w stany psychiczne i realizującego z łatwością swe zamierzenia i problemy czasem najdziwaczniejsze, niemal egzotyczne.

Czytając nowele Filochowskiego odnosi się wrażenie, że autor uprawia literaturę, jakby odniechcenia, „dla sportu”, z pewnym grymasem i uśmiechem ironicznym, który przewija się po wszystkich kartach książki, z niedbałym gestem wyższości—rzuca nam to, co napewno nie stanowi jeszcze wnętrznej jego istoty i wartości, i nie jest „krwią” pisane.

Autor „Czarciego młyna”, jest konstytucją twórczą typu nie dającego się łatwo ująć w pewne formuły kategoryj estetycznych ani też pobieżnie zsyntetyzować. Nie leżało to bynajmniej w planie naszej notatki, podkreślić się jednak nie wachamy, że od Filochowskiego powinniśmy żądać czegoś jeszcze potężniejszego, czegoś co nawet „krwią” powinno być pisane.

Tak rzekł raz Nietzsche: „Von allen Geschriebenen liebe ich nur das, was Einer mit seinem Blute schreibt”. *— p —*

Feliks Gwiżdż: KOŚBA.

(Warszawa 1921. Skład głów. Wende).

Ostatnim tomikiem poezji odbiega Gwiżdż daleko od szeregu współczesnych poetów, głośno i szumnie nawołujących do ludowości i poszukujących skrzętnie zaprzepaszczonych naszych lechickich pierwiastków. Poeci ci nieznają

ludu, lepią bóstwa swe sztucznie, naginając do haseł formę, natomiast oryginalna ludowość Gwiżdża wypływa z jego konstrukcji psychicznej, z gazdowstwa onego, które sercem ogarnąć pragnie w uścisku świat cały dziwów i uroków, jawiących się w rozkwitłej jabłonce i każdem ździeble koszonych traw.

Z poezji Gwiżdża bije siła, tężyzna i słońce, goście tak rzadko w dzisiejszych poezjach spotykani.

Juljusz Wirski: ŻYŹŃ ZA CARIA. REWOLUCJA.

(Warszawa 1921. Nakł. autora).

Powojenna hyperprodukcja poetycka, obfituje prawie wyłącznie w lirykę, w której jak w wklęsłem zwierciadle odbija się w wynaturzonych kształtach twarz naszej rodzimej współczesności. Spojrzyj w nią, ujrzysz reklamę eksportową, lub odpadki z wszystkich stołów literatury świata.

Juljusz Wirski — jeden z nielicznych pisze poematy. „Żyźń za Caria" i „Rewolucja"—oto tytuły dwuch tomików, któremi zadebjutował niedawno. Nierównej one miary, waloru i konstrukcji—jednaka im zato wichrowatość i pęd.

„Rewolucja" góruje bezwątpienia, jest to jakiś obłąkańczy krzyk, który rozsadza ramy poematu i stapia porwane wycinki koszmarnych obrazów. W krzyku Wirskiego jest odwaga, czasami silny ton, ale zagłusza on to wszystko, coby nam Wirski chciał powiedzieć od siebie, nad czemby się mógł uskarżyć, choćby owemu Chrystusowi „co tak ogromnie ścichł".

Wirski przeżywa wszystko na gorąco i bardzo realnie, maluje plamami, kontrastem słów, ale niepozwoli się niczemu przyjrzeć bliżej, na niczem dłużej zatrzymać wzroku.

Wirski poszukuje sam siebie, niełatwa to rzecz—pokładamy w nim jednak nadzieję, bowiem rękojmią jest tutaj talent bezsprzeczny.

Antoni Słonimski: TEATR W WIĘZIENIU.

(Powieść. Tow. wyd. „Ignis").

Od poety o skamandrycznej marce czekalibyśmy nowej formy w powieści. Już niech sobie starzy autorowie rozbudowują powieści, jak polskie folwarki—tu płot, tu stajnia — jak Bóg dał!

Czysta narracja, którą dotąd posługuje się powieść, nie wiele się różni od prozy codziennej, użytkowej. Jest to zaznaczenie faktów. Ażeby artystycznie je opracować, trzeba je ułożyć w sceny. Powieść, która najsilniej podtrzymuje podniecenie czytelnika, ma zawsze najwięcej pierwiastku dramatycznego. Niektóre miejsca powieści są właśnie takie. Inne, np. okres pracy w kinematografie są bylejak skleconem bladem zaznaczeniem faktów.

P. Słonimski ma dużo sentymentu. Widocznie, chciał napisać powieść o d w e w n ą t r z. Tkwimy wciąż w nieciekawem zresztą wnętrzu Anatola. Ale psychologizm już nas śmiertelnie zanudził, a największy kunszt polega na tem, aby przeżycia wewnętrzne sygnalizować przez zjawiska, — zdarzenia, ruchy i znieruchomienia—przez zjawę.

Powieść więc formą swoją nic nowego nie wnosi. Za to treść dałaby się nawiązać do Brzozowskiego („Sam wśród ludzi"). Takież rosyjskie chętne brnięcie w niższość i zbrodnię i szukanie piękna w kałużach. Cudna Marja, w której objęciach kona Anatol w domu rodzinnym, na despekt legalnej żonie, była kochanką włamywacza, a poetyczna dusza Anatola przeniosła parę miesięcy swobody nad życie bliźniego i potrafiła masakrować i wplątywać się bez uczucia w życie kobiet. Wogóle jest to wzór nieodpowiedzialności moralnej nie do naśladowania. Ale powieści nie pisze się dla umoralnienia pensjonarek — skonstatowano już za czasów Przybyszewskiego.

Zgoda — ale czyny, kwalifikowane jako dodatnie, robią wrażenie estetyczne. Chcemy pełni piękna — więc poco nam goryle?

Pozatem — p. Słonimski ma talent. Wiemy już o tem.

Adolf Nowaczyński: GÓRY Z PIASKU.

(Szkice literackie. Str. 352. Warszawa 1922. Nakładem „Placówki").

Ukazanie się nowej książki autora „Mocarstwa Anonimowego" jest zawsze w naszym literackim świecie wydarzeniem niezwykłem i sensacyjnem. Ten niezrównany fechmistrz piórem, jeden z najdoskonalszych naszych publicystów, odświeża nas zawsze swym błyskotliwym barwnym stylem i swą jasną, niezwykle śmiałą konstrukcją myśli.

Zanim będziemy mieli sposobność obszerniejszego rozważania ostatniej jego książki, zaznaczamy, że w skład jej wchodzą znakomite studja literackie: o Polonjuszu, Jaroszu Derdowskim, Polsce w literaturze angielskiej, Armenji i Ormjanach, Skamandrze, Arystofanesie, Einsteinie, Reymoncie, Rosji, Szkole Krakowskiej, Conradzie, Lechitach i Księdzu Tadeuszu Nowaczyńskim.

ZE SZTUKI.

Henryk Szczygliński.

Szczygliński należy do tej plejady malarskiej, która wyrosła ze szkoły Stanisławskiego, utkwiła w niej wszystkiemi korzeniami umiłowań polskiego pejzażu i pejzaż ten stworzyła.

Cechuje Szczyglińskiego umiejętność głębokiego wczuwania się w nastroje i wydobywanie z natury ukrytych czarów i piękności. Malarskie wypowiedzenia się jego mają w sobie wysokie artystyczne walory i głęboką kulturę estetyczną. W szafowaniu barwą jest ostrożny, nienadużywa światła, kolorystykę swoją umie sharmonizować w ton smutku, który często przemawia z jego płócien motywem cmentarzyska lub krajobrazu zimowego.

Zasadniczym rysem kompozycyj Szczyglińskiego jest synteza. Zdolność konstrukcyjna rozwinięcia motywu oraz indywidualność stawia tego malarza w rzędzie najwybitniejszych współczesnych naszych pejzażystów.

ODEZWA

Do Prenumeratorów „Placówki".

Rozszerzając granice swej działalności, Polski Posterunek Wydawniczy „Placówka" przeistacza obecnie miesięcznik „Placówkę" w wielkie wydawnictwo książkowe p. t.

„TEKA LITERACKA"

Miesięcznik „Placówka", który odtąd jako taki przestaje wychodzić, był poniekąd wstępem i przygotowaniem do podjętego obecnie przez nas wydawnictwa na wielką skalę, którego tomy, pióra wybitnych autorów, będą przynosiły prawdziwie pożądaną strawę literacką dla zastępu najinteligentniejszych czytelników.

Kto interesował się miesięcznikiem „Placówką", niewątpliwie tem więcej zainteresuje się teraz „TEKĄ LITERACKĄ", a każda jej książka znajdzie się u każdego z byłych naszych prenumeratorów „Placówki".

Książek „TEKI LITERACKIEJ" nie będziemy oddawać w prenumeracie, każdy więc z czytelników będzie miał wolny ich wybór.

Wszyscy byli prenumeratorzy miesięcznika „Placówka", których nazwiska mamy zarejestrowane w naszych kontrolach, stając się obecnie czytelnikami książek „TEKI LITERACKIEJ", korzystać będą stale w ciągu roku 1922 przy zamawianiu książek wprost w naszej Administracji (Warszawa, Nowy-Świat 40) z ustępstwa 25% od ceny katalogowej, oraz pozatem jeszcze z ustępstwa całego dodatku drożyźnianego księgarskiego, który, jak obecnie, wynosi 20%.

Przy końcu każdej książki „TEKI LITERACKIEJ", prócz tych, które już obecnie wydrukowane zostały, czytelnik znajdzie dołączony bezpłatnie dodatek p. t.

„PRZEGLĄD LITERACKI"

w którym omawiane będą najnowsze wydawnictwa książkowe jakie ukazały się na półkach księgarskich w bieżącym sezonie i prowadzony będzie dział bibljografji. Ułatwi to znakomicie czytelnikom orjentowanie się w naszym polskim ruchu wydawniczym.

Zamówienia na książki „TEKI LITERACKIEJ", które wyszły, można już nadsyłać. Po otrzymaniu zamówienia książki będziemy przesyłać za zaliczeniem pocztowem.

O nowych książkach, z chwilą ich wyjścia, będziemy oddzielnie zawiadamiać.

Polski Posterunek Wydawniczy „Placówka".

Cennik książek „TEKI LITERACKIEJ" dla byłych prenumeratorów miesięcznika „Placówka".

Niżej wyszczególnione książki ukazały się już z druku:

Wacław Filochowski. „Czarci młyn—legenda nowej Warszawy". (Nowele, str. 200). Cena Mk. 840
dla b. prenumeratorów Mk. 525

Adolf Nowaczyński. „Góry z piasku". (Szkice literackie, str. 352). Cena Mk. 2160
dla b. prenumeratorów Mk. 1350

Walenty Zieliński. „Czarodziejskie Wiano". (Baśń poetycka dla dorastającej młodzieży. Wydanie wykwintne, ilustrowane). Cena Mk. 720
dla b. prenumeratorów Mk. 450

Przesyłka pocztowa i opakowanie na koszt kupującego.

W DRUKU SĄ NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

Stanisław Lam. „Najnowsza literatura polska".
Mario Puccini. „Niech żyje anarchja". (Powieść tłum. z włoskiego)

oraz inne.

DO CZYTELNIKÓW.

Zawiadamiamy, iż „Gospody Poetów" nadal wydawać nie będziemy, pozostawiając „najmłodszym" zupełną swobodę co do dalszego wydawania jej na własną rękę.

Polski Posterunek Wydawniczy „Placówka".

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Boguszewska H. Patrz dokoła! Pogadanki przyrodnicze dla oddziału III-go szkoły powszechnej. Cz. I. Wyd. III. Wyd. Arcta.

Galle H. Przy pracy. Wypisy dla szkół zawodowych. Wyd. II. Wyd Arcta.

Szczawiński Z. Zadania maturalne z matematyki. Str. 40. Wyd. Arcta.

Szelągowski A. Dr. Prof. Dzieje powszechne. Cz. IV. Dzieje nowoczesne. Wyd. Arcta.

Andersen J. K. Baśnie i powiastki. Wybór dla młodz. opracował Zbigniew Kamiński. Wyd. czwarte. Str. 166, w ozd. oprawie. Wyd. Arcta.

Białynia E. Powstanie listopadowe. Wyd. II z rycinami. Str. 86. Wyd. Arcta.

Buyno-Arctowa M. Czytajmy sami. Powiastki. Wyd. trzecie z 10 rys. Str. 155. Wyd. Arcta.

Gawiński A. Przygody Okruszka. Czarodziejska historja dla dzieci. Z wieloma obrazkami i kolorową okładką autora. Str. 128. w ozd. oprawie. Wyd. Arcta.

Nowaczyński A. Mocarstwo Anonimowe. Wyd. Perzyński, Niklewicz. Warszawa 1921, str. 410.

Czekańska-Heymanowa R. We mgle i słońcu. Skład głów. Red. Ponowy. Warszawa 1921 r.

Sokołowska Z. W złotej księdze. Wyd. Synowie Niemiry. Warszawa 1922, str. 87.

Sokołowska Z. Listki wśród burzy. Wyd. Synowie Niemiry, str. 118.

Treść zeszytu XX-go.

Do zeszytu dołączony jest Nr. 19 „Gospody Poetów", jako bezpłatny dodatek. (Za redakcję „Gospody Poetów" odpowiedzialność ponosi wyłącznie jej redaktor *Radosław Krajewski).*

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA"

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka": WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.